



Ostatni raz widzieliśmy się w Warszawie przy Dworcu Centralnym. Tadeusz szedł razem z żoną Olą. Nie musiałem pytać, po co przyjechali i dokąd idą. Wiedzieliśmy, że od dłuższego czasu walczył z chorobą, z jej kolejnymi nawrotami. I że się nie poddawał.

Poznaliśmy się w Merze, gdzie przecież, co zrozumiałe, wszyscy znali prawie wszystkich. Znajomość z Tadeuszem wyglądała zgoła inaczej, bardzo prędko z oficjalnej przerodziła się w prywatną. Był osobą skromną, nienarzucającą się w grupie, w towarzystwie. Wystarczyło jednak zamienić z Nim kilka zdań na konkretny temat, mieć do załatwienia jakąś sprawę, by zauważyć, że słuchał rozmówcy bardzo uważnie, bodaj zawsze patrząc prosto w oczy, i chociaż z natury małomówny, rozmawiającego z nim nie pozostawiał w niepewności. Stwierdzał albo „tak”, albo „nie”, a jeśli padło to pierwsze, można było pozostać w przekonaniu, że sprawa będzie załatwiona. Bez zbędnego gadania, wielkich obietnic. Krótko, zwięźle.

Przepracował w Merze 35 lat, przechodząc różne stanowiska służbowe, aż do awansu na mistrza na Wydziale P-1, skąd odszedł na emeryturę. Znał dobrze zakład i ludzi. I jego też znano. Tak jak inni, przez wiele lat przemierzał codziennie trasę do Mery i z powrotem. Z ulicy Sochaczewskiej, gdzie wtedy mieszkał. Tak się złożyło, że byliśmy sąsiadami, mieszkaliśmy w sąsiednich blokach, więc zdarzały się okazje i do spotkań prywatnych, albo u nas, albo u nich. Tadeusz, na pozór poważny, surowy, w istocie był towarzyski, dowcipny, lecz niekonfliktowy i niehałaśliwy.

Mijały lata, dorastały dzieci, przyszła emerytura. Już jako emeryt czas jakiś pracował w Poniatówce. Był to dla Niego zupełnie nowy rozdział. Inny świat, inne realia, ale i tu prędko dał się poznać jako chodząca solidność, a jednocześnie jako złota rączka. Nic dziwnego, taki fachowiec!

Urodził się 4 grudnia 1930, zmarł 24 kwietnia 2009. W gorący dzień 29 kwietnia zebraliśmy się nad trumną Tadeusza. Nieczęsto na pogrzebie kościół bywa tak wypełniony. A tak liczna obecność to najlepszy dowód dobrej pamięci, jaką odchodzący zostawia po sobie. Przyszli wszyscy, którzy wiedzieli i którzy mogli przyjść. Przyszli z potrzeby serca. Z żalu i przez pamięć o Nim.

*Roman Nowoszewski*

(BIS 2009, nr 5)